



JAN NEPOMUCEN JANOWSKI

NOTATKI
AUTOBIOGRAFICZNE

1803 — 1853

ROZDZIAŁ I

DZIECIŃSTWO

Urodziłem się d. 17 maja 1803 r. w tej części Polski, która po jej trzecim rozbiorze zwała się Prusami południowymi (Süd - Preussen), a mianowicie na pustkowiu Wygoda, należącym do wsi Konopisk, położonej na samym pograniczu Śląska pruskiego, o milę na południe od Częstochowy. Konopiska, wieś kościelna, należała do dóbr narodowych, za czasów pruskich do Amtu, a za czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, do ekonomii: Poczesna¹. Nie jest ona nieznana w dziejach ojczystych: do niej wyjeżdżał król Michał Korybut na powitanie przyszłej swej żony Eleonory, arcyksiężniczki austriackiej i w niej przebywał królewicz Jakub Sobieski, czekając na skutek elekcji po śmierci ojca w r. 1696. Za moich czasów był tam jeszcze stary, obszerny dwór — mieszkanie dzierżawcy, w którym zapewne arcyksiężniczka Eleonora przyjmowaną była i królewicz Jakób niejaki czas przebywał. Znalazłoby się może i więcej wspomnień historycznych o tej wsi, z czasów mianowicie konfederacji barskiej, ale ja się nie zajmowałem ich poszukiwaniem. Po powstaniu listopadowym car Mikołaj darował Konopiska osławionemu jeszcze przed 29 listopada kapitanowi żandarmerii Ignacemu Pu-

¹ Amt, tutaj skarb państwa; ekonomia — klucz folwarków, należących do dóbr koronnych (czasem pojedynczy folwark), które w dawnej Polsce przeznaczone były na stół i inne potrzeby dworu królewskiego.

chale Cywińskiemu, zrobiwszy go pułkownikiem, a wkrótce potem generałem*.

Pustkowie Wygoda leży o ćwierć mili od Konopisk w stronę ku Częstochowie, a tuż przy gościńcu prowadzącym do tego ostatniego miasta z Górnego Śląska, od Gór Tarnowskich („pustkowie” zowią w tamtych okolicach jedną lub parę chałup opodal wsi położonych). Tam odebrałem życie w wymienionym wyżej dniu i roku. Ojciec mój, wieśniak jak inni, miał się jednak nieco lepiej od wielu innych; pańszczyzny nie robił, ale płacił czynsz i zabudowania miał własne. Naprzód miał jedną a potem dwie chałupy, albo raczej (boć były okazałsze i porządniejsze od zwyczajnych chałup chłopskich) dwa domy mieszkalne, gontami pokryte, z których jeden wydzierżawiał Żydowi na karcznię, a w drugim mieszkaliśmy**. Ojciec mój trudnił się furmanką i miał zawsze parę koni z parobkiem w drodze; najczęściej parobek jeździł po sól do Mrzygłodu lub Krakowa i odwoził ją do magazynu częstochowskiego. Przy jakim takim zarobku z furmanki i nie mając więcej dzieci prócz mnie jednego, łożyli chętnie moi poczciwi rodzice na moje wychowanie, dopóki mogli i dopóki ja sam nie zdołałem się utrzymywać i kierować w świecie, bez niczyjej zgoła opieki i pomocy.

* Jeżeli mnie prywatne doniesienia nie mylą, był jednak Cywiński lepszym panem dla ludu od wielu patriotycznej szlachty, kiedy jeszcze system pańszczyźniany panował. Zataić trudno, że pomiędzy jawnymi odstępcami sprawy narodowej byli niektórzy, co podobnie postępowali jak np. hr. Heliodor Skórzewski, całą duszą Prusak, w Poznańskim, i hr. Seweryn Uruski, panslawista carski w Kongresówce. (Przyp. aut.).¹

** Nowy dom był zbudowany na podmurowaniu z drzewa wzdłuż na pół przepiłowanego i na zewnątrz płaską stroną dobrze spojonego. Wklęsłości obróconych wypukłą stroną na wewnątrz belek były mchem i wapnem wyrównane, wytynkowane i wybielone. Wyglądał więc dom wewnątrz jak murowany. (Przyp. aut.).

¹ Niepochlebna opinia autora o H. Skórzewskim i S. Uruskim ma swe źródło niewątpliwie w ich tytułach i pozycjach dworskich: pierwszego w Berlinie, drugiego w Petersburgu.

Heliodor Skórzewski (1792—1857), w młodości oficer w. p. i adiutant ks. J. Poniatowskiego był szambelanem dworu pruskiego a jego syn Stanisław kamerjunkerem.

Uruski Seweryn (ur. 1814), autor znanego herbarza szlacheckiego — piastował godność tajnego radcy i ochmistrza dworu ros., poza tym napisał kilka rozpraw o kwestii włościańskiej w Królestwie Pol., z których treścią niewątpliwie nie solidaryzował się autor pamiętników.

W samej rzeczy, ojciec nie posługiwał się mną w gospodarstwie; nigdy mi żadnej roboty nie nakazywał. Nie tak jednak postępowała ze mną kochana i po równi z nim kochająca mnie matka. Kiedy jeszcze byłem małym chłopięciem, cztery lub pięć lat mającym, odezwała się do mnie, o ile pamiętam, w te mniej więcej słowa:

— Jasiu! Jasiu! gdybyś ty wypędził gęsi na jeziorko, byłby z ciebie łąbski chłopiec; zabawiłbyś się tam lepiej niż tu lub na podwórzu.

— Dobrze, mateńko — odpowiedziałem jej na to.

— Jeno pilnuj ich — dodała zaraz — aby szkody nie robiły i w żyto nie lazły.

Więcej razy nie potrzebowała już później mnie zachęcać, ja sam poczuwałem się do tego obowiązku i parę lat, na wiosnę, latem i w jesieni, ile razy była pogoda, pasąłem gęsi. Jeziorkiem nazywałem ja, a za mną rodzice i czeladź, niewielki wądoł o paręset kroków od domu przy gościńcu prowadzącym ze Śląska do Częstochowy. Wądoł ten, po części sitowiem i tatarakiem zarosły, po deszczu i w wilgotnej porze roku był pełen wody, podczas upałów letnich do połowy wysychał, ale i wtedy mogły się w nim gęsi rozkoszować.

Podrósłszy nieco i nim zacząłem chodzić, a nawet gdy już chodziłem do szkoły — w dni rekreacyjne wybiegałem niekiedy do pastucha, pasającego zwykle bydło na bagnistym w części pastwisku, gdzie na błotach były małe kępki zarosłe wrzosem i karłowatymi krzewinami, na których dzikie kaczki i inne ptactwo słały sobie gniazda. Jeżeli to było na wiosnę, wybierałem z pastuchem dzikim kaczkom jaja i dawaliśmy je do wysiedzenia kurom, które potem miały wiele zmartwienia z nieposłuszeństwa wylęgłych kacząt, bo te rozbiegały się zaraz na wsze strony, nie zważając na krzyk i lament podstawionych im matek. Jeżeli zaś było to latem (po okwitnięciu pszenicy), łąpałem z pastuchem raki w małej rzeczce, płynącej pod sąsiednią wioską Wąsoszem i wpadającej do Warty niedaleko Częstochowy, na której to rzeczce jednak, w całym jej biegu od Śląska, było kilka młynów, dzięki jej głębokiemu, choć nieszerokiemu korytu. Pastuch — kilkunastoletni chłopak — lubił mnie i uczył na różne sposoby raki łąpać, za co go także, jak i za inne zabawki, nawzajem lubiłem. Lubiany on był równie przez rodziców, bo był chętny do każdej roboty, której od niego wymagali, zwłaszcza w zimowej porze, kiedy bydła nie można było z obory wyganiać na paszę. On też to sprawił, że ja będąc jeszcze w domu, a nawet potem — jak nadmieniałem — przychodząc ze szkoły na dzień lub na dwa dni, sam niekiedy pasąłem

bydło. On bowiem w czasie sprzętów z pola, kiedy się zanosilo na deszcz lub burzę i trzeba było siano lub zboże czym prędzej do stodoły zwozić, mawiał do rodziców z własnej ochoty:

— Czarne chmury się pokazują i będzie ulewa; Jaś może paść bydło, a ja pomogę do zwózki.

Rodzice zostawiali to do mojej woli; ale, że ja się od tego — o ile pamiętam — nigdy nie wymówiłem, więc jak z początku pasalem gęsi, tak potem pasalem i bydło. Było tak przez parę lat, najwyżej przez cztery, bo w pamiętnym wielką kometa roku 1811 byłem już w szkole w Konopiskach, mając lat 8, tj. już tam nie dochodziłem jak wprzód, ale kwaterowałem razem z Janem Pilewskim i jak on byłem na stole u księdza.

Odprowadzając mnie po pierwszy raz do szkoły parafialnej do Konopisk, mówił do mnie ojciec — pamiętam dobrze — między innymi te słowa:

— Ucz się, ucz, mój synu, abys mógł pójść w świat pomiędzy ludzi i być dla mnie i dla matki pociechą, bo tu nie miałbyś co robić...

Te rozumne i miłością rodzicielską natchnione słowa wzięłem do serca i uczyłem się dobrze, i poszedłem w świat pomiędzy ludzi; byłem nawet czas niejaki niemałą pociechą ojcu i matce, ale niestety! długu wdzięczności nie spłaciłem im należycie. Nieszczęśliwy koniec powstania listopadowego był tego przyczyną.

Nauczycielem w Konopiskach, jak zwykle wówczas po wsiach kościelnych, był organista, nazwiskiem Jakub Nowakowski, rodem z Górnego Śląska pruskiego, umiejący prócz trochę łaciny kościelnej mówić i po niemiecku. Dom szkolny z muru pruskiego, obejmujący dwie obszerne sale wraz z mieszkaniem, kuchenką i piwnicą dla nauczyciela, stał na wzgórku obok plebanii. Do tej szkoły zacząłem chodzić 1809 czy 1810 roku, a więc już za Księstwa Warszawskiego. W lecie, zwłaszcza w dzień pogodny, łatwo mi było tam i na powrót przebiec ćwierć mili szczerym polem. Ale w zimie, nieraz wśród tęgich mrozów lub śnieżnej zawiei, było to trudne zadanie dla kilkuletniego chłopca, który od rana do wieczora nic ciepłego jeść nie mógł i musiał się tym kontentować, co sobie przyniósł z domu w zawiniątku. Nic mnie jednak nie zrażało i w zimie od regularnego chodzenia do szkoły. Nieraz musiałem brnąć przez zasy śniegu na mało co uczęszczanej drodze. Co więcej, zdarzało się, że nie wiedząc dobrze godziny, wyszedłem za wcześnie z domu przede dniem i potem, przybywszy na miejsce, musiałem — na mrozie lub słońcu — długo czekać pod

ścianą gmachu szkolnego, nim go otworzono. Mało kto może uwierzyłby temu, co tu piszę; ale jednak tak bywało w samej rzeczy. Wszyscy też mnie chwalili za moją pilność do nauki i to było silnym bodźcem dla biednych moich rodziców, że nie szczydzili dla mnie swojej chudoby; boć tego, co posiadali, nie można było bez przesady nazwać majątkiem.

Do czytania w tej szkole używano mianowicie małej, ale — jak sobie przypominam — bardzo dobrej książeczki: *Nauka obyczajowa*. Z katechizmu najlepiej — bo na całe życie — to mi utkwilo w pamięci, że „Bóg jest w niebie, na ziemi i na każdym miejscu“. To zupełnie zgadza się — że zauważę mimochodem — z tym, co powiedziano w *Dziejach apostoelskich* (XVII, 28): „...w nim żyjemy i ruszamy się i jesteśmy“, lubo zresztą jest przeciwne temu, czego katechizm naucza w duchu i na podstawie tak zwanego Składu apostoelskiego, ułożonego w 325 lat po Chrystusie, przez ojców soboru nicejskiego, za sprawą cesarza Konstantyna. Ale ileż to widocznych sprzeczności i w nauce rzymskokatolickiego Kościoła i w samym Nowym Testamencie...!

Po dwóch mniej więcej — jak mi się zdaje — latach mego uczęszczania do tej szkoły organista oświadczył ojcu, że ja już dobrze umiem wszystko, do nauczania czego on jest obowiązany, ale zarazem dodał, że jeżeli mu ojciec będzie płacił osobno za mnie dukata na miesiąc, chętnie mnie będzie uczył po łacinie i po niemiecku. Poczciwy ojciec przystał na to bez żadnego targu, pojmując dobrze swoim prostym, zdrowym rozsądkiem, że nauka jest pewniejszym bogactwem niż największy majątek. Uczyłem się więc po niemiecku czytać i pisać, a przy tym wokabuł i rozmów, równocześnie z deklinacjami i koniugacjami z jakiejś gramatyki, podobno Godszeda¹. Do łaciny miałem jakiś elementarz, w którym było kilka czy kilkanaście kartek wokabuł, zaczynających się w ten sposób: Bóg *deus*, mój *meus*, ptak *avis*, klucz *clavis*, chleb *panis*, pies *canis*, rok *annus*, sukno *pannus*. Dalej była w tym elementarzu ministrantura, której — rzecz prosta — musiałem się także wyuczyć na pamięć, aby umieć do mszy służyć. Na samym końcu były na szczęście już tylko z tradycji znane dziś wiersze, zalecające metody edukacji jezuickiej, które także na pamięć trzeba było umieć. Początek ich był następujący:

¹ Mowa o gramatyce niemieckiej znanego filologa niemieckiego, poety i teoretyka dramatu, Jana Krzysztofa Gottscheda (1700—1766).

„Róźdzką Duch święty dziateczki bić radzi,
Róźdzka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi;
Róźdzka napędza rozumu do głowy...”

Podług tego, co nadmieniałem, nie potrzebuję dodawać, że tej metody nigdy na mnie nie doświadczano.

Niejaki czas potem, gdym się już z elementarza obeznał nieco z łaciną i miał w głowie pewien zapas wyrazów z tego języka, zaszła mi organista do średniowiekowej gramatyki Donata*. (Donat żył w czwartym wieku i był nauczycielem św. Hieronima¹). Z tej gramatyki nie korzystałem wiele; bo nie wszystko w niej rozumiałem a organista nie umiał wszystkiego tłumaczyć i objaśniać. Nauczyłem się tylko wielu łacińskich i polskich przysłówi, niektórych dawnych zapewne z predylekcją przez szlachtę używanych, jak np. dwa następujące:

Dum veneris Romam, Romano vivite more!
Kiedy wnijdiesz między wrony, toteż krakaj jak i one!
Caseus et panis sunt optima fercula sanis
Gdy się dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

Na nauce łaciny i niemczyzny u organisty Nowakowskiego zeszło mi znowu ze dwa lata. Po upływie tego czasu Nowakowski opuścił Konopiska i wrócił do Śląska, skąd był przybył. W tym bowiem czasie zaszła zmiana, nie wiem jak powiedzieć, plebana czy komendara². Kościół w Konopiskach, obsługiwany przez paulinów jasnogórskich, był — i zapewne jest jeszcze — tylko filią kościoła parafialnego w Starej Częstochowie, gdzie proboszczem był generał tego zakonu. Na miejsce księdza Erazma R. nastąpił ksiądz Kalasanty M., rozumie się także paulin jak tamten. Ks. Kalasanty przybywał z klasztoru

* Gramatyki Donata były dwie części: większa i mniejsza; ja się podobno uczyłem z tej ostatniej, która — zdaje mi się — miała tytuł: *Octo partes orationis*. (Przyp. aut.).

¹ Donatus Aelius, gramatyk rzymski z IV w., autor *Ars grammatica* w 3 ks., którą dla celów szkolnych wydawano kilkakrotnie w edycji skróconej pt. *Ars minor* (o tej wspomina autor).

² Komendarz — w staropolszczyźnie zastępca proboszcza, nie pełniący funkcji ściśle kościelnych, ale za swe czynności pobierający dochody z parafii.

pińczowskiego i przywiózł z sobą na organistę i nauczyciela starszego ode mnie — w jakie cztery lub pięć lat — podrostka, nazwiskiem Jana Pilawskiego, który był ukończył parę klas w Pińczowie w tamtejszych szkołach, wówczas jeszcze podwydziałowych, utrzymywanych przez paulinów. Ojciec mój ułożył się o mnie z nowym plebanem czy komendarzem, zobowiązując się płacić mu dwa dukaty na miesiąc. (Uczyłem się dalej i po niemiecku, ale już sam, nie od moich nowych profesorów, którzy z tego języka nie umieli i tyle, co ja). Za to sam ksiądz uczył mnie dalej łaciny, a jego wychowanek Pilawski rachunków, początków geografii i tego wszystkiego, co sam umiał ze szkół pińczowskich. Za dwa dukaty miałem już i wikt u księdza oraz mieszkanie w gmachu szkolnym razem z Pilawskim, z czego — rzecz prosta — byłem kontent, nie potrzebując już co dzień odbywać do domu tak niemiłej często przechadzki, jak to powyżej opowiedziałem.

Ks. Kalasanty kazał mi na bok odłożyć Donata i ślęczyć nad Alwarem¹. Musiałem się znowu męczyć — i bardziej niż nad Donatem — nad tym zawiłym jezuickiej mądrości czy przewrotności dziełem. Najtrudniejszym, pamiętam, było dla mnie zrozumienie prawideł o iloczasiu (*de quantitate syllabarum*), bardzo sztucznie, ale podobno nie dość dokładnie w heksametrach wyłożonych. Jakkolwiek bądź nauka z tej gramatyki nie była dla mnie zupełnie bez pożytku; bo mi w głowie pozostało zawsze mnóstwo wyrazów łacińskich z ich znaczeniem, które mi się na potem przydały; głowa bowiem moja nie była, jak twierdza bez załogi tj. głowa bez pamięci, że użyję wyrażenia Napoleona I. Znaczenia wyrazów szukałem u Knapskiego *Thesaurus Latino — Polono — Germanicus*², który miałem pod ręką. Ks. Kalasanty był ze mnie kontent i chwalił mnie tak przed ojcem i matką, jak przed częstymi u siebie gośćmi, chcę mówić przed swoją współbracią zakonną z Jasnej Góry. Ci zjeżdżali się dość często do niego, z pełnymi różnymi likworów puzderkami, pewni będąc, że jeżeli tam nie znajdą wielkich specjałów, będzie zawsze jak się wyrażali: *bona assatura aut vervecea aut vitulina et bonum vinum hungaricum*.³

¹ Podręcznik gramatyki łac., używany we wszystkich szkołach jezuickich od XVI w., także w rozlicznych przeróbkach. Autorem był Emanuel Alvarus, jezuita portugalski.

² Właściwy tytuł: Knapski Grzegorz (Cnapius, leksykograf polski XVI/XVII w.), *Thesaurus Latino-Germanico-Polonicus. Thomus secundus Latino-Polono-Germanicus* (wyd. Grölla w Warszawie, 1780).

³ Dobra pieczeń barania lub cielęcina i łyk przedniego węgrzyna!

Ks. Kalasanty i ci jego goście mówili do mnie najczęściej po łacinie.* Łacina ich nie była zapewne — o ile o tym dziś sądzić mogę — ani cycerońska, ani nawet taką, jak mego późniejszego profesora w uniwersytecie krakowskim, Wilhelma Münich (który później w Wilnie objął katedrę po sławnym Grodku), ale także nie była podobną do łaciny owego gwardiana bernardynów, co mając wyjść na procesję z całym swoim konwentem, rzekł do zgromadzonych mnichów: *Ibitis bis et bis, et ego post vobis*¹. Pomiedzy tymi gośćmi bywał najczęściej ks. Urban P., profesor filozofii na Jasnej Górze, od którego głosu trzęsły się mury sławnej kaplicy, gdy zaintonował: „*Gloria in excelsis*“ lub „*Ite, missa est*“! Drugim częstym gościem bywał ks. Remigi W., młody kaznodzieja niedzielny ze Starej Częstochowy, który nie tyle wymową, ile gestem, wznoszeniem oczu do góry i przykładaniem prawej ręki do serca wywoływał głośne westchnienia swych słuchaczy, a zwłaszcza słuchaczek. Gdy też ten ostatni przyjeżdżał do Konopisk, towarzyszyła mu zwykle jedna lub dwie obywatelki częstochowskie, mianowicie pani M. W takim razie młody i gładkiego lica kaznodzieja nie omieszkał nigdy z tą ostatnią — jeszcze dość młodą i wcale nieszpętną osobą — wywijać walca. (W tym miejscu wstrzymuję pióro, bo mi się przypomina z Donata jedno z przysłówi, które tu może mieć swoje zastosowanie: *Eximia est virtus...*²

Oczywiście kiedy byli goście, ja byłem wolny od nauki i dzieci w szkole miały także rekreację. Kiedy zaś gości nie było, nie tylko się sam uczyłem, ale pomagałem Pilawskiemu w szkole, a czasem go i zupełnie zastępowałem. Nadto — nie mówiąc już o tym, że jak w święta, tak i w dni powszednie służywałem do mszy — niemałą byłem pomocą księdzu Kalasantemu przez dwa lata czy dłużej, utrzymując tj. pisząc za niego akta stanu cywilnego.

Nieznacznie nadszedł rok 1817, w którym 17 maja skończyłem lat 14 i rodzice widząc mnie podrastającego, zaczęli myśleć, co mają dalej ze mną robić. Ks. Urban, o którym wyżej, w przejeździe do Ko-

* Jeden z tych gości jasnogórskich odezwał się raz do mnie: „Uczysz się dobrze, jak widzę, po łacinie; ale powiedz mi, co znaczy: *olcus*“ — „*Ulcus, ulceris* — odrzekłem — znaczy wrzód; lecz co znaczy *olcus*, nie wiem“ — On mi na to: „To źle, otóż słuchaj: Olkus miasto, kluski ciasto, żelazo skóbel, ptak wróbel...“ Był to dowcip nie bardzo dowcipny; ale wówczas mógł mi się wydawać niezłym. (Przyp. aut.).

¹ Przejdziecie raz i drugi, a ja za wami.

² Wzniosłą jest cnota!

nopisk lub z powrotem na Jasną Górę wstępował nieraz do nich i obiecywał im, że jeśli mnie zechcą mu oddać, wykieruje mnie na takiego jak on piastuna Pana Jezusa, że jak on, będę mógł zostać doktorem św. teologii, profesorem itp. Ojciec był gotów na to przystać, ale ja nie okazywałem żadnej chęci i gdy mi o tym mówił, nic mu nie odpowiadałem. Rozważniejsza w tym razie od ojca matka widząc, że ja nie dam się namówić, stanęła po mojej stronie.

— Widzisz — mówiła do ojca — że chłopiec nie ma ochoty, a potem — jeżeli prawda, co ludzie mówią — że on u ks. Urbana byłby może tylko na posłudze, nie na nauce, po co go zmuszać? Więc daj mu lepiej pokój!

Jakoż ojciec jej usłuchał. Niech jej pamięci będzie cześć za to, bo bez jej udania się, byłbym może został pasożytem w społeczeństwie i typem samolubstwa, jakim jest każdy mnich, czy on wie o tym lub nie. Wkrótce potem ks. Remigi, który w przejeździe wstępował także czasem do moich rodziców, zaproponował im, aby mnie oddali do założonego przed rokiem gimnazjum katolickiego w Gliwicach, w Górnym Śląsku pruskim, o 9 mil od Częstochowy. Dodawał on nadto, że p. Bożewski, kupiec z Częstochowy, wysyła tam swego syna Piotra, a p. M. kasjer (mąż pani M., o której wyżej) swego syna Karolka. Jak się później przekonałem, księdzu Remigiemu chodziło o to, aby ten ostatni, znajomy mi już i lubiący ze mną przestawać, ile razy my się widzieli, miał ze mnie przykładowego i pożytecznego pod względem nauki towarzysza. Bez długiego namysłu zgodzili się rodzice na ucyzioną im propozycję z wielkim moim ukontentowaniem, bo ja chciałem się uczyć; zgodzili się tym chętniej, że p. Zegrzda, dzierżawca z sąsiedniej wsi Dźbowa — niezamożny szlachcic, ale dobry człowiek — wysyłał tam także swego syna Józefa, z którym ja się od paru lat znałem i przyjaźniłem więcej niż z Karolem M.



Jan Nepomucen Janowski w drugiej połowie życia
Zdjęcie z natury z b. zbiorów raperswllskich w Warszawie.